

# „Polskiej sołowuszką”

## Rozmowa z Ewą Turską-Bandrowską

**Polski słownik**  
„Polskiej sołowuszką” — zawałałam zapałem w czasie antraktu w operze moskiewskiej wasyli i dziobaty robociarz. „Polskim słownikiem” — jak donoszą korespondencje, depeze, opowiadania tych, co wówczas byli w Moskwie — nazywano Ewę Bandrowską. Tak ją ochrzciła publiczność, w ambasadzie zaś dano jej tytuł „Śpiewającego ambasadora”. Działo się to wszystko w okresie polskiej dekady muzycznej, kiedy Rosja, już przedtem podbita przez Szymanowskiego, teraz urządziła jakiś prawdziwy festiwal entuzjazmu i biegła co wieczór do opery, potem z koncertu na koncert. Bandrowska bisowała arje, a Fitelberg dyrygował i walił do Warszawy depezę za depezą o niezwykłych sukcesach polskiej artystki.

Poprzez dwukrotny występ w „Lakmé”, w „Violette”, występy w „Cyruliku”, w „Cygankach”, w „Rigoletto”, w „Lohengrinie” — rośła sława. Wielki gmach opery moskiewskiej zapalał się po brzegi, w amfiteatrze pełno było bluz robotniczych, udarnicy, jako nagrodę za wydajność pracy otrzymywali bilet na występ Bandrowskiej, starszyskowie pamiętający świetność przedwojenną operowych teatrów wydobywali ostatnie grosze, żeby jeszcze raz w życiu być na przedstawieniu, które ma nie tylko świetność, ale i blask, gdzie teatr huczy od okrzyków, a primadonna niezliczoną ilość razy, wychodzi przed kurtynę i zagarnia coraz nowe wieńce kwiatów.

**Włoska arja w Sowietach**  
W stolicy sowieckiej rozbrzmiewała arja śpiewana po włosku, w „Lohengrinie” polska, raz na koncercie rosyjska — wówczas publiczność wbiegała na estradę, gdyby estrada nie była już zastawiona krzesłami. Perkowski, Łabuński, Maciejewski — młode nazwiska polskich kompozytorów Bandrowska wprowadzała na sowiecki afisz, walcą z „Casanową”, Różyckiego śpiewała cały Lenin-grad.

Choć wygląda to zupełnie nie- zwykłe, zupełnie tak, jakbyśmy ozyli bohaterowie powieści o wielkich artystach — było to jednak prawdą. Przy wyjściu z Opery i z Filharmonji policjanci musieli tworzyć kordon, bo inaczej Bandrowska nie przedostałaby się przez ludzką ciżbę, na placu przed Operą w momencie ukończenia przedstawienia zbierały się takie tłumy, że tramwaje nie mogły przejechać.

A bohaterka tej triumfalnej podróży po Rosji — Moskwa, Leningrad, Charków, Kijów — uciekała do hotelu i tam musiała każdy, swój sukces przeżywać na nowo, tylko jakby rozłożony na części: na korytarzu stały kolejki gości. Widzowie przychodzili ją odwiedzić.

— O czym z panią rozmawiali? Jak tłumaczyli swoją wizytę?  
— Mówili, że chcieli mi podziękować i trochę się na mnie popatrzyć...

Bandrowska opowiada to z za- żenowaniem. Zaraz się obstawia zastrzeżeniami i mówi, że wszyst- ko jest nie do wiary, że ona nie potrafi przyznać się do niesłycha- nych historii, jakie z nią wy- rabiła rosyjska publiczność. Od pięciu dni jest w Warszawie, a jeszcze do niczego się nie wzięła poważnie. Najważniejsze zadanie, jakie ma przed sobą, to ochłonić z wrażenia. Jest oszo- lomiona, nie umie odpowiedzieć na pytanie, bo zawsze ma kilka od- powiedzi. Każdy szczegół jest ciekawy i każdy warto przypomnieć.

Jest zmęczona. Na tapczanie w niebieski gobelinowy desę, w po- koju o zasuniętych kremowych storach, wtula się w kolorowe po- duszki, opiera głowę o ścienną makatkę, przykrywa rzesę, ukła- da spokojnie ręce, poto, żeby, raz je podnieść i pokazywać, jak to było, jak dawała fotografie, jak przyszła do niej mała Miroszka, jak się spóźniła do teatru Sta- nisławskiego, jak dostała angie- ny, jak wygląda ulica w Moskwie, gdzie co się kupuje, jakie są śliczne futra, jak miła była pu- bliczność, ile dostała pamiętek...

Nic z odpoczynku. Zrywa się, bie- gnie do drugiego pokoju, oddziel- onego kotara, przynosi wycinki z pism, papiery zwinięte w wiel- kie rulony — adresy z Konserwa- torjum, z Opery, fotografie i po- kazuje z zapałem, trochę z dumą — aha, co to ja potrafię, widzi pan! — trochę z zawstyżeniem, że potrafi aż tak wiele.

**Orkiestra stradivariusów**  
— To jest zdjęcie Opery w Moskwie. Tu jest widownia. Cze- tyry wielkie piętra, widziałam je zawsze po brzegi nabite. Tuż przed sceną jeszcze widać wnękę dla orkiestry. Orkiestrę mają doskonałą, to chyba jest nawet najpiękniejsza orkiestra opero- wa, jaką słyszałam. Zupełnie, jak- by zespół wirtuozów. Prawdę mó- wię, to i grają na koncertowych instrumentach, jak mi mówiła p. Malinowska, kierowniczka orkie- stry, są tam wspaniałe wiolon- czelce, skrzypce — stradivariusy.  
— A publiczność?  
— Publiczność naturalnie wy- gląda inaczej, niż na Zachodzie. W Rosji nikt teraz nie ubiera się „do teatru”. Przechodzi się w ja- snych garniturach; oczywiście, niema na parterze ani jednego smokingu, na balkonie siedzą najrozmaitsi sowieccy pracow- nicy — z biur, z warsztatów, z fa- bryk. Kobiety są ubrane na bia- ło, bo właśnie w Moskwie lansu- ją len rosyjski, tak, jak u nas polski. Publiczność sowiecka wła- ściwie to jest chłodna. O wiele

chłodniejsza, niż na Zachodzie. Byłam tylko raz na przedstawie- niu w teatrze Stanisławskiego. Dawano „Cyrulika Sewilskiego” w dobrej obsadzie, w pomysłowej reżyserji, a jednak nie było ta- kich oklasków, jakie byłyby we Francji, czy w Belgji. W Mos- kwie najwięcej ze dwa razy ak- tor wychodzi się kłaniać.

— Zato z panią było zupełnie inaczej?

**Dają z serca — przyjmować sercem**

— Ach, ze mną! Ze mną ro- biono już nie wiem co. Nie będę panu mówiła, bo pan i tak nie uwierzy. Ja sama nie chciałam wierzyć temu, co się działo. Zo- stałam oszołomiona. Ciągłe w at- mosferze entuzjazmu. Co drugi dzień występ, po zatem wizyty, przyjęcia, nie licząc już wystę- pów nieoficjalnych.

— Nie będę udawać, że mnie to nie wzruszyło. Ci ludzie tak z serca dawali mi swoje uwielbie- nie, że trzeba było przyjmowa- wać sercem. Nieraz aż mnie za- gardło ścisnąć. Proszę sobie wy- obrazić, że do wagonu przy wy- jeździe z Moskwy przynoszono pomarańcze, że ktoś niósł ze so- bą dwa jabłka. Kto inny kupił trochę słodczy, a skromne ko- bietki, które nie stać było na pre- zenty, piekły w domu kruche ciasteczka i obdarowywały mnie i w hotelu i na drodze.

— Przecież taki placuszek od sowieckiej obywatelki chyba wię- czej znaczy, niż wspaniały kosz kwiatów, jaki się dostawało na Zachodzie. O, a tutaj, jest adres, dostałam go od publiczności.

— Od publiczności? Przecież publiczność jest anonimowa, nie tworzy żadnej grupy, ani zwią- zku?

— To go właśnie utworzyli — woła ze śmiechem. — Sporo osób przechodziło na każdy koncert, już ja ich zauważyłam, odróżnia- łam te same twarze, oni także za- częli zwracać na siebie uwagę, zapoznali się, zaprzyjaźnili i na pożegnanie dostawałam skórzana- teczkę z podpisami.

**Mała Miroszka**

— Cóż to za podpis: „Petite Mira”.

— Mała Miroszka. Przycho- dziła na koncert zawsze z ma- ma. Raz przyszły do mnie do ho- telu i Miroszka przyniosła po- marańcze.

— Mira umiała po francusku?

Widzę, że cały tekst adresu jest po francusku?  
— Bo to są ludzie bardzo du- żej kultury. Ubrani skromnie, al- bo i wręcz po robociarsku, a np. doskonale mówią obcimi języka- mi. Mają dwie pasje: Praca i szt- ka. Pracują szalenie, bardzo ciężko, więc jeśli potem zetkną się ze sztuką, to ją sobie cenią jak największy skarb. Przy wyj- ściu z koncertu publiczność pro- siła mnie o podpisy na pocztów- kach z fotografiami. Otrzymywa- łem potem listy z podziękowania- mi. Najrozmaitsze, po angielsku, po francusku, po niemiecku. Nie- które od starszszek właściciel- ły tylko dobiegających swoich lat z czasów sowieckich, a właści- we ich życie minęło przed wojną.

**Jak wśród przyjaciół**

— Drugi występ musi się bar- dzo różnić od pierwszego, kiedy ma się tak serdeczną publicz- ność?

— Och, ja śpiewałam jak w gronie przyjaciół, tylko że ich było koło mnie trzy tysiące. Ty- łu ich miałam, że nie mogłam się ru- szyć na estradzie. Estradę zasta- wiono krzesłami, śpiewając twa- rzą do sali, stałam tyłem do tam- tych — nie wiedziałam, co mamy zrobić. Wkońcu przy bisach od- wróciłam się plecami do sali i raz przecież zaśpiewałam zwró- cona do tej drugiej części słu- chaczy.

— Zupełnie jak w tym żarcie o teatrze, gdzie po obu stronach kurtyny posadzone publiczność.

— Zupełnie tak. Wogóle wszy- stko jest jak z jakiegoś opowia- dania, jak z powieści. Przecież — żartuje Bandrowska — wygląda- łam na heroinę romansu, gdy chorowałam w Kijowie. Leczył mnie stary, brodaty, siwy profe- sor, a popołudniu regularnie zja- wiali się z wizytą trzej dyrekto- rowie teatru, i każdy oddzielnie pukał do drzwi, oddzielnie we- chodził, niosąc pod pachą słodczy, owoce, albo wino.

— A kiedyż pani u nas zaśpie- wa? (już przy pożegnaniu, przy wyjściu).

— A nie wie pan przypadkiem, gdzieby to można zaśpiewać? Bo ja takiego miejsca nie znam.

— W Filharmonji...

— Tak, w Filharmonji, w przy- szłym sezonie pewno wystąpię na koncercie symfonicznym, ale ja, pan, zdaje się też, — myśleli- my o czym innym.

**Z. B.**

## Z nauki i sztuki

**Przyroda**

— Ochrona przyrody w szkole. Komitet Ochrony Puszczy Jodłowej przy udziale fachowych znawców te- renu przygotowuje wzorowe regio- nalne muzeum szkolne (zbiór pomo- cy naukowych z mapkami, wykres- mi, opisami, kompletem fotografii, przezroczey itp.), które stanowią bę- dzie poglądowy obraz stosunków fi- zjograficznych, kulturalnych i go- spodarczych Gór Świętokrzyskich. Muzeum to ruche, organizacyjnie związane z Muzeum Polskiego w Kiel- cach, służąc jako pomoc podsta- wowa przy organizowaniu kursów re-

gionalno-krajoznawczych dla naucz- cielstwa, przede wszystkim dla tych, którzy organizować będą po szkołach przy istniejących organizacjach, Ko- ła lub Sekcje Młodych Przyjaciół Puszczy Jodłowej. Działalność ta- kiego Koła działywać na młodzież rozeigając się na teren, objęty pro- mieniem jednolitej wycieczki od- niejseca, gdzie się znajduje szkoła. Koło, lub Sekcja posiada z grona nauczycielskiego opiekuna, Starsze- go Przyjaciela Puszczy, który czuwa nad działalnością Koła i jest stałym łącznikiem z Komitetem Ochrony Puszczy Jodłowej w Warszawie. Przewidziana jest „nagroda przyja- ń” dla Kół najsprawniej działają- cych, w postaci egzemplarza „Pus- czy Jodłowej” Stef. Żeromskiego lub „Pamiętnika Świętokrzyskiego 1930”.

Komitet pociągnął do współpracy miejscową młodzież akademicką, która pod kierunkiem fachowym Komitetu przygotowuje bibliografję regionalną fizjograficzną, antropo- graficzną, historyczną, gospodarczą itd., dotyczącą Gór Świętokrzyskich w granicach, ustalonych przez ostat- nie badania naukowe. Bibliografja powyższa ma być podstawą planowej organizacji badań naukowych w Gó- rach Świętokrzyskich.

**Muzyka**

— 50-lecie zgonu Taglioniego. Słynna tancerka Opery paryskiej, Taglioni, zmarła na wiosnę roku 1884. Ze se- ny ustąpiła w r. 1844, czyli 40 lat przeżyła poza teatrem. Taglioni by- ła po Fanny Elssler najsłynniejszą tancerką owego czasu. Wdzięk jej o- piewali poeci, jak Banville i Alfred de Musset. Teofil Gautier napisał o niej: „Taglioni to kapłanka czystej sztuki: ona się modli nogami”.

Widzę, że cały tekst adresu jest po francusku?

— Bo to są ludzie bardzo du- żej kultury. Ubrani skromnie, al- bo i wręcz po robociarsku, a np. doskonale mówią obcimi języka- mi. Mają dwie pasje: Praca i szt- ka. Pracują szalenie, bardzo ciężko, więc jeśli potem zetkną się ze sztuką, to ją sobie cenią jak największy skarb. Przy wyj- ściu z koncertu publiczność pro- siła mnie o podpisy na pocztów- kach z fotografiami. Otrzymywa- łem potem listy z podziękowania- mi. Najrozmaitsze, po angielsku, po francusku, po niemiecku. Nie- które od starszszek właściciel- ły tylko dobiegających swoich lat z czasów sowieckich, a właści- we ich życie minęło przed wojną.

**Jak wśród przyjaciół**

— Drugi występ musi się bar- dzo różnić od pierwszego, kiedy ma się tak serdeczną publicz- ność?

— Och, ja śpiewałam jak w gronie przyjaciół, tylko że ich było koło mnie trzy tysiące. Ty- łu ich miałam, że nie mogłam się ru- szyć na estradzie. Estradę zasta- wiono krzesłami, śpiewając twa- rzą do sali, stałam tyłem do tam- tych — nie wiedziałam, co mamy zrobić. Wkońcu przy bisach od- wróciłam się plecami do sali i raz przecież zaśpiewałam zwró- cona do tej drugiej części słu- chaczy.

— Zupełnie jak w tym żarcie o teatrze, gdzie po obu stronach kurtyny posadzone publiczność.

— Zupełnie tak. Wogóle wszy- stko jest jak z jakiegoś opowia- dania, jak z powieści. Przecież — żartuje Bandrowska — wygląda- łam na heroinę romansu, gdy chorowałam w Kijowie. Leczył mnie stary, brodaty, siwy profe- sor, a popołudniu regularnie zja- wiali się z wizytą trzej dyrekto- rowie teatru, i każdy oddzielnie pukał do drzwi, oddzielnie we- chodził, niosąc pod pachą słodczy, owoce, albo wino.

— A kiedyż pani u nas zaśpie- wa? (już przy pożegnaniu, przy wyjściu).

— A nie wie pan przypadkiem, gdzieby to można zaśpiewać? Bo ja takiego miejsca nie znam.

— W Filharmonji...

— Tak, w Filharmonji, w przy- szłym sezonie pewno wystąpię na koncercie symfonicznym, ale ja, pan, zdaje się też, — myśleli- my o czym innym.

**Z. B.**

— „Kopciuszek” przejechał do Londynu z Opery Komicznej w Pa- ryżu, gdzie odgrzebane arcydzieło Rossiniego miało ogromny sukces, ze słynną Conchitą Supervia w roli ty- tułowej. Ona też śpiewała „Kop- ciuszka” w Covent Garden, gdzie dyrygował Marinuzzi, a wśród gwiazd znaleźli się tenor Borgioli, specjalista do koloratur rossinie- skich i basista z La Scala Pinza.

**Budują miasto wynalazców**

**Domy-kolosy dla pracy**

W Moskwie rozpoczęto budowę specjalnej dzielnicy, w której ma- ją stanąć domy dla wynalazców, uczonych sowieckich. Dzielnica ma być nieco oddalona od miasta, mieścić się wśród ogrodów i ma zapewnić maksimum możliwości swobodnej, odosobnionej pracy.

Domy uczonych mają posiadać po 1000 — 1200 mieszkań odpo- wiednio zbudowanych, zapewnia- jących mieszkańcom ich wygodę i spokój. Przy mieszkaniach mają się mieścić małe podręczne labo- ratoria, natomiast wielkie pracow- nie mają mieć specjalne pomie- szczenie.

# Tajemnica postaci ks. Robaka

## Kto był prototypem?

W setną rocznicę „Pana Tadeu- sza” zainteresowanie szeregiem spraw, które dotąd nie znalazły swego całkowitego wyjaśnienia, stało się bardziej żywe. Zajęto się poematem.

Zwrócona uwagę na postać ks. Robaka.

Czy jest to postać całkowicie zbudowana na fantazji poety, czy może posiadała wzór, odpowiednik w życiu, a przez to nie była ima- ginowana, tworzona przez wiesz- cza na podstawie ogólnych, przy- jętych sądów, wiadomości o pra- cach emisariuszów politycznych.

Postać ks. Robaka była posta- cią, wziętą z rzeczywistości — i o to właściwie niema już spo- ru. Mniemanie jest ustalone. Cho- dzi o to, jakie wydarzenia i czyja osoba zaważyła tu na ostatecz- nem zarysowaniu się postaci, któ- ra następnie przeszła do poema- tu.

Dotychczas przypuszczano, że

**Mówią... piszą...**

## „Małżeństwa” koleżeńskie

W pierwszym numerze czasopis- ma „Ster”, które świeżo zaczęło się ukazywać pod redakcją Roma- na Jaworskiego, zamieścił Karol Irzykowski cięty artykuł na te- mat dyskusji o t. zw. „małżeń- stwach koleżeńskich”, jaka toczy się od dłuższego czasu na łamach sanacyjnej „Dekady Akademickiej”.

Jak rozdrażnione pszczołki unosa- ją w powietrzu słowa: „kottunerja”, „szczerość”, „postęp”, „obuda”, „świętoszkostwo” lub „męska wygo- da”, „egoizm” i t. p. Pachnie flirtem bardziej, niż mitem, pachnie dopin- giem i t. zw. przyszłością. Jeden kon- statuje, że „życie poszło siedmiom- iłowym butami naprzód” i twierdzi, — w co już mu nikt nie wierzy, — że „miłość jest węzłem silniejszym, niż ślub, zawarty z wszelkimi czerono- niami” i wali tym siedmiomilowym butem w „zmurszałe formy”, poczem niesie wysoko sztafardę z hasłami „wolności, równości, zdrowia”. Cały repertuar podręcznych zwrotów dzien- nikarskich został spłodowany. Zwią- szezca podoba mi się ten zwrot o stru- siu, który chowa głowę w „piasek dawnych przesądów”. Tenże jego- mość, który podpisał się jako dr. Je- kyll, chce wzmocnić w kobiecie, że mał- żeństwa koleżeńskie są właśnie ich zyskiem, a ustępstwem mężczyz- ła, „kobieta przestała już być własnością i żada dla siebie równych praw”. Ale jeżeli one tych równych praw nie chce? Postępowy dr. Jekyll nie wie, że i robotnicy mają równe prawa z kapitalistami. „O ileż takie rozwią- zanie ułatwia życie!” woła dr. Jekyll. Snaż nie śledzi wcale dyskusji ostat- nich paru lat i nie zauważył, że „u- łatwione życie” stało się już dziś ter- minem humorystycznym (wprowadził go Skiński, krytykując Boya).

Kolega koleżankę chce naciągnąć na Boya i na postęp, i cytuje p. Krzy- wicką, jak powagę naukową; Lind- sey prawie, jak Linbergh przybywa z Ameryki, aby dać ostatnią sankcję; obłożona twierdzą kapitułując, a na- wet staje się pionierką, bo „każdy krok naprzód, każdy wyłom w sta- rych zwyczajach, będzie szczeblem na drodze” i t. d. (A. Buznitsówna).

Jakie skutki praktyczne wywo- ła propagandę „małżeństw kole- żeńskich”, boyizmu, krzywickiz- mu i t. p., o tem również można się coś nie coś dowiedzieć z an- kiety „Dekady”. Piszcie Irzykow- ski!

Z odpowiedzi, które padły w ankie- cie, dowiadujemy się o ładnych sto- sunkach. „Nie jest odosobnionym wy- padkiem — pisze jedna w artykuli- ku p. t. „Onotliwy i uwodziele” — ale zjawiskiem niemal codziennym, że ko- lega żyje z jedną, a poza nią ma cno- tliwą, z „dobrego domu” pannę, która narazie jest jego narzeczoną, — a po pomyślnym ułożeniu się warunków materialnych — jego prawowitą żo- ną. Kobiety te oczywiście o sobie nie wiedzą i każda go kocha; on zaś tylko jedną — i to nie zawsze, a dru- ga okłamuje i wyzykuje”. Inny znów powiada, że istnieją już nie małżeń- stwa koleżeńskie, lecz: prostytucja koleżeńskich, polegająca na tem, że kol. X dziś z koleż. Y, jutro z kole- żanką Z, a pojutrze z koleżanką N... i vice versa. Kończy się to niesmacz- nie i oplakanie: czterech czy pięciu kolegów; popularnie mówiąc „lapie”... oczywiście nie ptaka za ogonem. I wy-

znaje: „Cały szereg moich kolegów posiada kochanki, przyjaciółki, jak kto woli. To jest wolna miłość”.

Ale główny kontyngent ankie- towców stanowią entuzjaści „małżeństw koleżeńskich” i entu- zjastki „równouprawnienia” sek- sualnego. Trafnie ocenia to Irzy- kowski:

„Zastanawiają mnie głównie te i- dylotyczne frazesy o równouprawnie- niu, to podbijanie bębena naiwnym niewiastom. Równouprawnienie kobie- ty z mężczyzną na tem polu, to buja- nie; istnieje ono tylko w tych wypad- kach, gdy partnerka posiada własny majątek, który pozwala na różne eks- perymenty ze swem życiem. Toteż nie dziwota, że pionierkami tego głupio- go równouprawnienia są przedewsz- ystkiem bogate a rozwyrżone żydów- ki.

W dzisiejszych nieliberalnych cza- sach taka oaza liberalizmu!

W literaturze femin. prym wodzą kobiety, które przestały być pannami i zapomniały o pewnym drobnym szcze- gółie. Ba, objawia się u nich nawet pewna jakby niechęć, a co najmniej zakłopotanie wobec kwestji panień- stwa. Nawet Meisel - Hess uważa, że dziewczęta za przesad burżu- azyjny czy drobniomieszczański. Zda- je mi się jednak, że kobieta zbyt łat- wo wyrzeka się tutaj swego „statutu”. Skoro Pan Bóg dał wam ten symbol, należy go jakoś zrozumieć. Idealizm jest przecież, żeby i mężczyźni i ko- bieta wstępowała w związek małżeń- ski niewinni. Ten ideał bywa zaprze- czany, ale traktujemy go tutaj cho- ciażby jako fikcję orientacyjną. Ołóż poki żaźniste feministki z zaradcości nie przeprowadzą jakiegos urzędowe- go rozdziewczania wszystkich dzie- wic sposobem chirurgicznym (u pew- nych dzikich plemion załatwia to król), póty niewinność i dziedzictwo partnerki w małżeństwie będzie re- gulatorem, który odświeża i uszlachet- nia stosunki erotyczne, wcięż zabaga- niane przez mężczyzn, i chociaż prze- łotnie objawia światu coś takiego jak miłość, w formie najlepszej. Kobiety nie powinny się odrękać tak łatwo od tego, że tak powiem, mistycznego zadania.

„W każdym małżeństwie kole- żeńskim — konkluduje Irzykow- ski — zawartem nabyto na rów- nych prawach, kobieta będzie zgory oszukana, pokrzywdzona”.

Dyskusja o „małżeństwach kole- żeńskich”, na łamach „Dekady”, która posłużyła Irzykowskiemu do cytowanego artykułu, zaniepo- kojała nawet głównego jej wino- wajcę, Boya, który w ostatnim numerze „Wiadomości Literac- kich” kategorycznie zastrzeżę- ła, że propagowane przez niego z Lindseyem „małżeństwa kole- żeńskie” są całkiem czem innym, niż zaczyna się to uciecać w prak- tycznym stosowaniu u nas tego terminu. Mianowicie pod pojęcie „małżeństwa koleżeńkiego” pod- stawia się obecnie zwyczajnie — wolną miłość. Nie mniej przeto Boy uważa, że dysputy takie są pożyteczne i że on „pozostaje dla dysputantów z całą sympatją”...

Oczywiście, oczywiście!

## 16 miliardów książek w 105 językach

Kryzys czytelnictwa, kryzys książki. Nakłady spadają, choć są śmiesznie małe. Dzieje się to nie- tylko u nas, ale również w kra- jach o wysokim poziomie czytel- nictwa. Narzekają wydawcy w Niemczech, Francji, Anglii. Wy- jątkowo olbrzymie nakłady miały ostatnio tylko: Remarque’a „Na zachodzie bez zmian” oraz Hitlera „Mein Kampf” (Moja walka).

Jak jest w Sowietach? W kra- ju, w którym wielomilionowa i wielotysięczna ludność nie była przyzwyczajona do czytania. O- statnie dane za minione 15 lat przynoszą fantastyczną liczbę 16 miliardów książek, wydanych przez Państwowe Zakłady Wyda- wnicze; same dzieła Gorkija do- sięgnęły 19 miliardów egzempla- rzy. Książki wydano w 105 języ-

kach dla wszystkich ludów, zamie- skujących Rosję.

Na 160 milionów mieszkańców Rosji 16 miliardów książek! 100 egzemplarzy na jedną osobę. Ko- to 7 egzemplarzy rocznie „na głó- wę” to liczba bardzo znaczna. Jest to tem więcej, że indywidualne zbieranie książek, tak rozpowszechnione w Europie, w Rosji niemal że nie istnieje. Książki wy- drują z rąk do rąk za pośrednic- twem bogato rozwiniętej sieci czyteln ludowych. W ten sposób liczba 7 egzemplarzy „na głowę” powiększa się wielokrotnie.

Tak jest w Sowietach. Byłoby rzecz ciekawą i pożyteczną, aby odpowiednie instytucje literackie zajęły się dokładnem zobrazowa- niem tych spraw u nas.

skość wydarzeń w czasie, zdaje się potwierdzać tę tezę. Tembar- dziej, że wyprawa M. Szymańskie- go obfitowała w szereg momen- tów, które i obojętności musiały in- teresować wieszszca, i na emigra- cji być przedmiotem żywej wymia- ny zdań.

Przytulek emisariusza pod da- chem Puttkamerów w Bolcieni- kach i więzienie ich, pewna nieja- sność działań samego Marcelgo Szymańskiego, który schwytyany dość niewyraźną odegrał rolę, wy- dając współników, mogło wpłynąć na pomyśł zdrady, którą przypisy- wano Robakowi i jego późniejszej ekspiacji i obrony przeciw zarzu- tom rzekomej zdrady, czego doko- nał ks. Robak w swojej spowie- dzi.

W ten sposób najbardziej inter- esująca postać „Pana Tadeusza” zyskała nowe oświetlenie, które może stać się źródłem badań, wy- jaśniając ostatecznie genezę po- myśłu osoby ks. Robaka.